

Michał Bardel

Czy dialog Sokratejski jest w szkole możliwy?

Ponieważ robię to już po raz trzeci, można uznać, że robię, to co robię, zgodnie z tradycją naszych Łopuszniańskich spotkań – otóż zgodnie z tradycją zamierzam dziś mówić o dialogu w szkole w kontekście uczenia filozofii. Ale też zgodnie z tradycją będzie to wykład – jak sobie pochlebiam – którego wnioski *mutatis mutandis* dadzą się zastosować do wielu innych przedmiotów. Trud takiej aplikacji jak zwykle pozostawiam Państwu, o ile zdołam przekonać kogokolwiek, że to, co dzisiaj Państwo usłyszycie, jest warte takiego trudu.

I jeszcze jedna mała uwaga metodyczna: może się zdarzyć, że zmuszony będę tu i ówdzie powrócić do pewnych założeń czy też formułowanych w poprzednich latach. Winna jest tu tematyka tegorocznej konferencji: mówiąc o dialogu w szkole nie sposób nie odnieść się do problemu odpowiedzialności (odpowiadalności); nie sposób też uciec od problematyki prawdy w relacji uczeń—nauczyciel.

Wykład postanowiłem zatytułować: Czy dialog Sokratejski jest w szkole możliwy. A szczerze mówiąc, byłem do dziś przekonany, że zatytułowałem go nieco inaczej, mianowicie: Dlaczego dialog Sokratejski jest w szkole niemożliwy. Będę chciał bowiem Państwa dziś przekonać, że słynna dialogiczna metoda uprawiania filozofii czy też nauczania filozofii, z której słynie po dziś dzień stary Sokrates, nie daje się zastosować w praktyce szkolnej – nawet wówczas, gdybyśmy próbowali ograniczać ją do zajęć z filozofii. Mógłby ktoś powiedzieć złośliwie, że nadzwyczaj wygodnie ustawiam sobie temat: nic prostszego pokazać, jak uczyć się nie da. O wiele trudniej mówić o metodach, które się sprawdzają. Otóż i o nich będzie mowa, bo zbyt bliska mi jest postać Sokratesa, bym go miał uważać za całkowicie nieprzydatnego w szkole.

Najpierw jednak pokuszę się o kilka uwag destrukcyjnych, a to z tego powodu, że wskutek pewnego – jak sądzę – błędnego bo bezkrytycznego przekonania o roli Sokratesa w procesie nauczania, wielu młodych adeptów filozofii rozpoczynających pracę w szkole, często jeszcze podczas praktyk studenckich, stawia sobie za cel naśladowanie greckiego mistrza dialogu filozoficznego w swojej codziennej dydaktycznej pracy. Wielu młodych adeptów dydaktyki filozoficznej marzy o przygotowywaniu takich zajęć, podczas których, tak jak Sokrates, zdołają za pomocą zręcznych pytań i podpowiedzi wydobyć z młodych dusz wiedzę, pomóc tej wiedzy przyjść na świat, ale w taki – nadzwyczajnie spektakularny sposób – by uczeń poddany metodzie dialogicznej ze zdumieniem odkrywał w sobie pokłady wiadomości, których nie spodziewałby się w sobie odnaleźć, by uczeń zaskoczony był, że oto sam – choć z pomocą współczesnego Sokratesa – zdołał dojść do rozwiązań, których nawet się po sobie nie spodziewał.

Otóż to Sokratejskie rodzenie wiedzy z duszy nieprzygotowanej, to umiejętne nakłuwanie nagromadzonych tam tajemniczo informacji, uważam za niewykonalne. I to z powodów wcale nieskomplikowanych. Zanim Państwa do tego zacznę przekonywać, przypomnijmy sobie w wielkim skrócie ową słynną starożytną procedurę, którą nazywamy Sokratejskim dialogiem:

Najpierw przypomnieć trzeba, że owo słynne „rodzenie wiedzy” z duszy rozmówcy, w całej metodzie Sokratesa stanowiło etap ostatni, końcowy, niejako jej zwieńczenie. A że był to etap najbardziej spektakularny, zapominamy dziś często,

że poprzedzić go musiały dwa, równie trudne i wymagające, a co gorsza – o wiele mniej przyjemne dla rozmówcy.

Bo oto rozpoczynał Sokrates rozmowę od tego, co uczenie nazywamy elenktyką, a co się wykłada jako „zbijanie”. Oto nasz starożytny i niedościgniony mistrz ironii sam siebie stawiał w roli pokornego ucznia, który z przyjemnością wysłucha, co też rozmówca ma do powiedzenia na wybrany temat, ot choćby pobożności. Ta ironiczna postawa Sokratesa miała rozmówcę ośmielić: oto wielki Sokrates wreszcie czegoś nie wie i mnie pyta o zdanie. No więc odpowiadam zgodnie z najlepszą swoją wiedzą. Moment, w którym rozmówca zaczynał dostrzegać, że wpadł w pułapkę, należał do najmniej przyjemnych doświadczeń obcowania z wielkim filozofem. Bo oto ten z pozoru nic-nie-wiedzący Sokrates z miną jak najpokorniejszą w każdym wygłaszanym przez rozmówcę twierdzeniu natychmiast znajdował sprzeczność z twierdzeniami poprzednimi, tak że po krótkiej chwili interlokutor sam już nie wiedział, jak jest jego zdanie w rozpatrywanej kwestii. Nic dziwnego, że to „zbijanie” twierdzeń rozmówcy nader często kończyło się gwałtowną wymianą zdań, a źródła historyczne potwierdzają, że dochodziło z rzadka także do rękoczynów.

Miał więc w pogotowiu Sokrates drugi etap procedury, zwany protreptycznym, który – o ile zdążył go w porę zastosować – nie tylko miał go ochronić przed przemocą, ale wręcz zachęcić „zbitego” na etapie wstępnym rozmówcę, do dalszego dialogu. „Protreptyka” to inaczej zachęta właśnie. Sokrates szanował swój czas – musiał się upewnić, że natrafił na duszę, która przetrwa ów czyściec elenktyczny, i będzie miała w sobie na tyle samozaparcia, by pójść dalej.

A dalej następował ów osławiony etap maieutyczny, etap „rodzenia”. Teraz ster rozmowy przejmuje sam Sokrates – zadaje pytania, najczęściej zamknięte, wymagające od rozmówcy potwierdzenia lub zaprzeczenia. Sokrates krok po kroku zyskuje zgodę rozmówcy na kolejne przesłanki. Z wnioskami czeka do samego końca, by rozmówca nie zorientował się zbyt wcześnie do czego wspólnie zmierzają. Każda przesłanka z osobna wydaje się niegroźna – ot, takie oczywiste stwierdzenia, tyle, że zatwierdzane w dość szalonym tempie nie zostawiającym czasu na ich połączenie. Kiedy tych oczywistych stwierdzeń nabiera się odpowiednio wiele, Sokrates wyprowadza z nich wniosek – zwykle mocno zaskakujący dla samego rozmówcy, bo zwykle skrajnie odmienny od stanowiska, z którym rozpoczynał rozmowę, a przynajmniej całkowicie niespodziewany. Oto ten biedny Polos, który zarzekał się, że lepiej jest zbrodniarza, by nie poniósł kary, nagle sam z siebie musi potwierdzić, że zgodził się z całym zespołem owych „niegroźnych” przesłanek, z których w sposób konieczny wynika, że... najszcześniejszy będzie ten ze zbrodniarzy, którego ukarzą najsurowiej.

Tak w wielkim skrócie wygląda potrójna procedura dialogu Sokratejskiego. Sam Sokrates chwalił się, że ideę rodzenia wiedzy z duszy rozmówcy zaczerpnął z życiowego doświadczenia: jego matka była akuszerką, a on samo, jako mały chłopiec, przyglądał się często jej pracy. W ogóle myślę, że należałoby by się baczniej przyjrzeć roli kobiet w filozoficznej karierze Sokratesa: gdyby nie matka, moglibyśmy nigdy nie poznać metody maieutycznej dyskusji, gdyby nie żona Ksantypa, która – jak pisali złośliwi komentatorzy – „uczyniła mu życie w domu niemożliwym”, być może nie wyszedłby tak chętnie ze swoją filozofią na ulicę...

Ale wróćmy do rzeczy. Co jest takiego w Sokratejskiej metodzie „rodzenia”, co nie pozwala jej dzisiaj stosować?

- (1) Już najprostsza odpowiedź wydaje się sprawę rozstrzygać: w próbach zastosowania metody Sokratejskiej we współczesnej szkole brakuje... Sokratesa. Innymi słowy nie jest to metoda dla każdego, nie każdy jest w stanie jej podolać, więcej – wydaje się, że wymaga ona tak wielkiej wiedzy i umiejętności, że mógł jej podolać sam jeden Sokrates. Ta odpowiedź zupełnie mnie jednak nie satysfakcjonuje – ma charakter – by tak rzec „nieistotowy”. Wierzę chętnie, że większość dzisiejszych nauczycieli filozofii nie może się w żaden sposób równać z Sokratesem, ale cóż z tego? To czyni skuteczność metody Sokratejskiej co najwyżej nieprawdopodobną – nie czyni jej jednak niemożliwą.
- (2) Spróbujmy innego argumentu: nie szukajmy owego braku po stronie nauczyciela – znajźmy go po stronie ucznia. Platoński Sokrates wierzył, że każdy człowiek przychodzi na świat z wrodzonym zasobem wiedzy w duszy, ale zasób ów nie jest u wszystkich ludzi równy – większy u tych, których dusze w kolejnych cyklach wcieleń doskonalily swój potencjał oddając się nauce, mniejszy u tych, które dbały wyłącznie o zaspokojenie cielesnych pragnień. Do tego dochodzi jeszcze temperament rozmówcy, jego zdolności intelektualne, biegłość i zwykła ciekawość. Nic dziwnego, że najdoskonalszy współczesny pedagog będzie miał trudność w odnalezieniu naprawę brzemiennej duszy wśród swoich uczniów – wystarczy, że sam Sokrates żadnej swojej rozmowy nie doprowadził do końca, do wniosków ostatecznych. Spisane przez Platona dialogi Sokratesa urywają się zazwyczaj w momencie, kiedy Sokrates dostrzega, że rozmówca dalej już nie pójdzie, że nie nadaża, że wnioski stają się zbyt trudne, by przyjął je do wiadomości. Ale i ten argument ze słabości uczniów nie ma sobie tej zasadniczości, bym z jego pomocą chciał Państwa przekonać do nieskuteczności dialogu Sokratejskiego w dzisiejszej szkole. Ma on jednak tę zaletę, że kryje w sobie trop do właściwego rozwiązania.
- (3) Tym tropem jest pewne założenie, bez którego cała Sokratejska metoda bierze w łeb. By rodzić wiedzę z duszy rozmówcy, trzeba koniecznie założyć, że wiedza ta jest w niej jakoś uprzednio obecna, że każdy człowiek przychodzi na świat wyposażony nie tylko w intelektualne narzędzia umożliwiające mu zdobywanie wiedzy, ale w cały szereg gotowych idei, które tylko czekają, by ktoś pomógł mu je uświadomić, wydobyć na jaw. Krótko mówiąc, by rodzić wiedzę z duszy rozmówcy, trzeba być przekonany natywiścią.

Trudno nam dziś jednoznacznie rozstrzygać, jakie było w tej kwestii stanowisko samego Sokratesa. Trudno, bo Sokrates nie pozostawił po sobie ani jednego pisma – wszystko, co on wiemy, zawdzięczamy w przeważającej mierze Platonowi i jego *Dialogom*. A odróżnić właściwe poglądy Sokratesa od tych, które w jego usta wkłada Platon, nie jest wcale łatwo. Trudno jednak wyobrazić sobie, by Sokrates nie wierzył w istnienie wiedzy wrodzonej (podobnie jak trudno wyobrazić sobie akuszerkę przekonaną, że dzieci wynajduje się w kapuscie). Bez wątplenia to jego przekonania stały u podstaw teorii preegzystencji dusz, która w kilku cudnych przypowieściach i swojej wyrafinowanej teorii anamnezy zostawił nam po sobie Platon. Raz na 10000 lat – uczy nas Platon – dusza wyzwala się z kręgu reinkarnacyjnego i uczestniczy w niezwykłej wędrówce ku Równinie Prawdy. Ile zdoła tam dostrzec, zanim znów spadnie na ziemię, tyle jej w duszy zostanie. O ile będzie się starała wiedzę tę sobie przypomnieć (na tym – zgodnie z teorią anamnezy

– polega oddawanie się filozofii), o tyle stanie się lepsza, doskonalsza, i w kolejnym rajdzie ku Hyperuraniu wystartuje z lepszej pozycji. A dla dusz porządnych filozofów Platon przewidział specjalny bonus – nie muszą czekać 10000 lat: już po 3000 mogą brać udział w wyścigu.

Opowiadam Państwu tę parabolę, by pokazać, jak silne metafizyczne założenia stoją za Sokratejskim przekonaniem o skuteczności metody „rodzenia”. Doktryna preegzystencji dusz miała swoich zwolenników w całej starożytnej historii. Św. Augustyn poważnie rozważał zaadaptowanie jej na potrzeby rodzącej się doktryny chrześcijańskiej, ale ostatecznie nic takiego się nie stało. Siedemnastowieczna filozofia empirystyczna zadała mocny cios ostatnim zwolennikom teorii idei wrodzonych. Dziś już natywizm w czystej postaci jest poglądem dość karkołomnym. Owszem, tu i ówdzie powracają pewne wątki natywistyczne (w językoznawstwie niedawno karierę zrobiła teoria wrodzonych norm gramatycznych Noama Chomsky’ego, ciągle inspirująca jest teoria archetypów Carla Gustawa Junga), ale trudno budować na nich uniwersalne przekonanie o wrodzoności całej najistotniejszej wiedzy. A takie właśnie przekonanie legło u podstaw Sokratejskiej metody.

Gwoli uczciwości dodam na marginesie, że bez wątpienia możliwe są i godne poparcia wszelkie próby stosowania w dydaktyce uproszczonej metody dialogu Sokratejskiego – ot dość swobodnego „udawania” Sokratesa, dzięki któremu zamiast wtlaczać przemocą intelektualną odpowiednią porcję wiadomości do głowy ucznia można tak pokierować jego uprzednio zdobytą wiedzą, by w rezultacie „niejako” sam doszedł do nowych wniosków. Choć zewnętrznie procedura taka przypomina starą metodę Sokratesa, w istocie nie mamy tu do czynienia z żadnym „rodzeniem” wiedzy, a jedynie z umysłowym treningiem w kojarzeniu informacji i wyciąganiu wniosków. Niemniej i taki trening, jeśli dobrze przeprowadzony, może dawać dość widowiskowego rezultaty.

II

Tyle tytułem wytłumaczenia się z tytułu. Chciałbym teraz przejść do części pozytywnej, konstruktywnej. Mianowicie postawić pytanie, czy w związku z tą dokonaną właśnie dezawuacją Sokratejskiej dialogiki, należałoby w ogóle o Sokratesie jako postaci monumentalnej dla dydaktyki filozofii zapomnieć. Otóż nie. Otóż anachroniczność Sokratejskiej metody nie musi wcale oznaczać, że od Sokratesa współczesny nauczyciel niczego cennego się nie dowie. By dostrzec tę pozytywną i całkiem współczesną wagę Sokratesa dla spraw dydaktycznych trzeba jednak nieco zmienić perspektywę.

Zwykle patrzymy na Sokratejskie rozmowy z mieszkańcami Aten od strony metodycznej. Interesuje nas jak Sokrates robił to, co robił. Tymczasem chciałbym postawić pytanie odmienne: dlaczego Sokrates robił to, co robił. W próbie odpowiedzi na to pytanie kryje się – moim skromnym zdaniem – najważniejsza dla nas, nauczycieli, lekcja tego filozofa.

Dlaczego Sokrates robił to, co robił – mianowicie: dlaczego uprawiał filozofię poprzez dialog? Z jakiego powodu, zamiast spisywać kolejne dzieła i od czasu do czasu występować z nimi publicznie na Ateńskiej agorze, całą praktykę filozofowania sprowadził do rozmowy z drugim człowiekiem. Urzędująca w domu filozofa Ksantypa wszystkiego jednak tu nie wyjaśnia.

Odpowiedź na to pytanie znajdujemy – bo gdzieżby indziej – znów w filozofii Platona, precyzyjnie zaś mówiąc w Platońskiej koncepcji filozofii, którą miał zapewne wspólną z Sokratesem. Ta koncepcja filozofii zakłada coś, co jest

szczególnie ważne dla nas, nauczycieli: ścisły związek bycia filozofem z byciem nauczycielem, więcej: ścisły związek poszukiwania prawdy z dialogiem, rozmową. Sokrates jest tego związku ucieleśnieniem.

Nie da się poszukiwać prawdy, nie da się uprawiać filozofii, inaczej niż poprzez dialog. Ale tu sprawa się nieco komplikuje. Bo Platonowi wcale nie chodzi o pokazanie, że oto „co dwie głowy, to nie jedna”, że – jak powie wiele stuleci później Ludwig Feuerbach „idee rodzą się wyłącznie w konwersacji podmiotu z innym podmiotem”. I Sokrates i Platon wierzyli bowiem w to, że idee nigdzie się nie rodzą – idee są, wcześniej niż cokolwiek innego, a sprawą filozofia, poszukiwacza prawdy, jest te idee odsłonić za pomocą języka, wysłowić, wyartykułować. I właściwie – przynajmniej na pierwszym etapie tej roboty – nikt mu w tym pomagać nie musi. Rzecz jednak w tym, że ten pierwszy etap, etap odsłonięcia pewnej idei, wglądu w istotę rzeczy, nie jest i może być dla poszukiwacza prawdy etapem ostatnim.

Po nim bowiem nastąpić musi ten etap, na którym nieodzowna staje się rozmowa. Etap wystawiania na próbę. Odkryte idee muszą zostać poddane sprawdzeniu, muszą potrafić się same obronić. Przed czym? Przed krytyką ze strony drugiego człowieka, niezależnego podmiotu. Ten drugi etap, etap sprawdzania i szlifowania idei, jest równie ważny jak pierwszy, jak ich odsłanianie.

Pozwólcie Państwo, że po ilustrację owych dwóch etapów odwołam się do metafory dobrze Państwu znanej, do paraboli jaskini Platońskiej. Obraz mamy przed oczami: oto w kamiennej grocie, tyłem do wyjścia siedzą kajdaniarze. Oto za ich plecami biegnie murek, a za nim jakieś postaci noszą na głowach drewniane i kamienne podobizny rzeczywistych przedmiotów. Oto jeszcze w następnym planie płonie ognisko, którego światło projektuje cienie owych posągów na ścianie jaskini. I oto jeszcze dalej, za ogniskiem, mamy jezioro, w którego wodach odbijają się stojące po jego drugiej stronie rzeczywiste przedmioty. A za tym wszystkim Słońce, dzięki któremu te odbicia są możliwe.

Jeden z kajdaniarzy wyzwala się i rusza w trudną podróż, na której docierać będzie do kolejnych etapów opisanego obrazu, by wreszcie, po wielu trudach i kłopotach ze wzrokiem (siedział wiele lat w ciemności) zobaczyć Słońce i... no właśnie: wrócić z powrotem do jaskini, by tam o wszystkim co widział opowiedzieć, by tam przekonać pozostałych, by ruszyli ku światłu – wreszcie, by zginać z rąk tych, którzy mu nie dowierzają, bo cienie na ścianie mają za całą rzeczywistość.

Jaskinię Platońską można oczywiście interpretować na bardzo wiele sposobów:

- (1) metafizycznie: idee – matematyczne struktury – rzeczy fizyczne – jednoaspektowe wyglądy fizycznych rzeczy
- (2) teoriopoznawczo: prawdziwa wiedza (episteme) dotyczy tej części obrazu, dla której źródłem światła jest słońce (przedmioty nad stawem i odbicia w wodzie); wiedza domniemana (doksa) dotyczy tej części obrazu, która oświetlana jest przez ogień płonący za murem.
- (3) moralnie: zamknięcie się w jaskini symbolizuje to przywiązanie do ciała i w ogóle sfery zmysłowości; wyzwolenie z kajdan to otwarcie się na rzeczywistość duchową – greckie słowo „periagoge”, którego Platon użył, by opisać odwrócenie głowy przez kajdaniarza, zostało zaadaptowane do chrześcijaństwa jako „nawrócenie”.

Jest wreszcie w tym obrazie i ten wymiar, który dla naszych rozważań wydaje się najistotniejszy. Znowu musimy zadać pytanie „dlaczego?” w miejsce pytań „jak”: otóż dlaczego kajdaniarz, który zobaczył już wszystko, co było do zobaczenia, który osiągnął – pozornie – wszystko, co było do osiągnięcia, dlaczego ów kajdaniarz (filozof) wraca z powrotem do jaskini? Jaki ma w tym cel? Dlaczego Sokrates wychodzi na ulicę, by nauczać odporne umysły ateńskie?

Otóż wraca, bo taka jest misja poszukiwania prawdy. Bo poszukiwacz prawdy – po pierwsze: nie szuka jej tylko dla siebie; po drugie – zawsze winien szukać kogoś, kto dokona na odsłoniętych ideach sprawdzianu.

Zobaczmy, że sam Sokrates nierzadko wspomina o tych dwóch momentach, które każą filozofowi podjąć dialog:

Najpiękniejsze jest umiłowanie do tych rzeczy – powiada Sokrates w Fajdrocie Platona – gdy ktoś obeznany z umiejętnością dialektyki, spostrzegając odpowiednią duszę zasadzi i rozsieje umiejętnie słowa, które są zdolne pomóc same sobie i duszy, a nie są jałowe, lecz przynoszą plon.

Choć mowa tu przede wszystkim o potrzebie podzielenia się zdobytą wiedzą z innymi, to i w tym krótkim zdaniu prześwieca ów drugi moment: moment wystawienia na próbę. Mówi Sokrates: *słowa, które zdolne są pomóc same sobie*, a więc takie, które bronią się przed krytyką drugiego.

W innym miejscu powie Sokrates, że filozofem nazwać można jedynie kogoś, komu *w tej robocie przyświeca znajomość prawdy i kto potrafi w danym razie ustnie bronić tego, co napisał, i nieraz w tej obronie pokazać, że nic nie warte to, co napisał.*

Na tym, w wielkim skrócie, polegałby ów ścisły związek poszukiwania prawdy z dialogiem, filozofii z jej nauczaniem poprzez dialog. Samo odsłanianie idei, choćby najdoskonalsze, nie jest jeszcze filozofią – odsłaniać ideę potrafią nierzadko lepiej od filozofów poeci. Tym się jednak filozof różnić powinien od poety, że na tym pierwszym spoczywa obowiązek wyjaśnienia i uzasadnienia, obrony i usunięcia wątpliwości, a więc obowiązek, który – jeśli tylko ma być spełniony rzetelnie i wyczerpująco – wymaga dialogu jako swojej metody.

Także Sokrates wystawiał swoją wiedzę na próbę. Także Sokrates wśród swoich rozmówców poszukiwał tego, kto zdolny będzie jego myśl podważyć i skłonić go do przemyślenia rzeczy na nowo. Kto będzie od niego po prostu mądrzejszy – tak przecież sam się tłumaczy stojąc przed zgromadzeniem heliastów na kilka dni przed śmiercią – jego misja to próba zaprzeczenia słowo wyroczeni delfijskiej, która nazwała go najmądrzejszym pośród Ateńczyków. Niestety, przekleństwo Sokratesa polega na tym, że nigdy nie spotka nikogo, kto by go czegoś nowego nauczył, kto uderzyłby w samo sedno jego myśli.